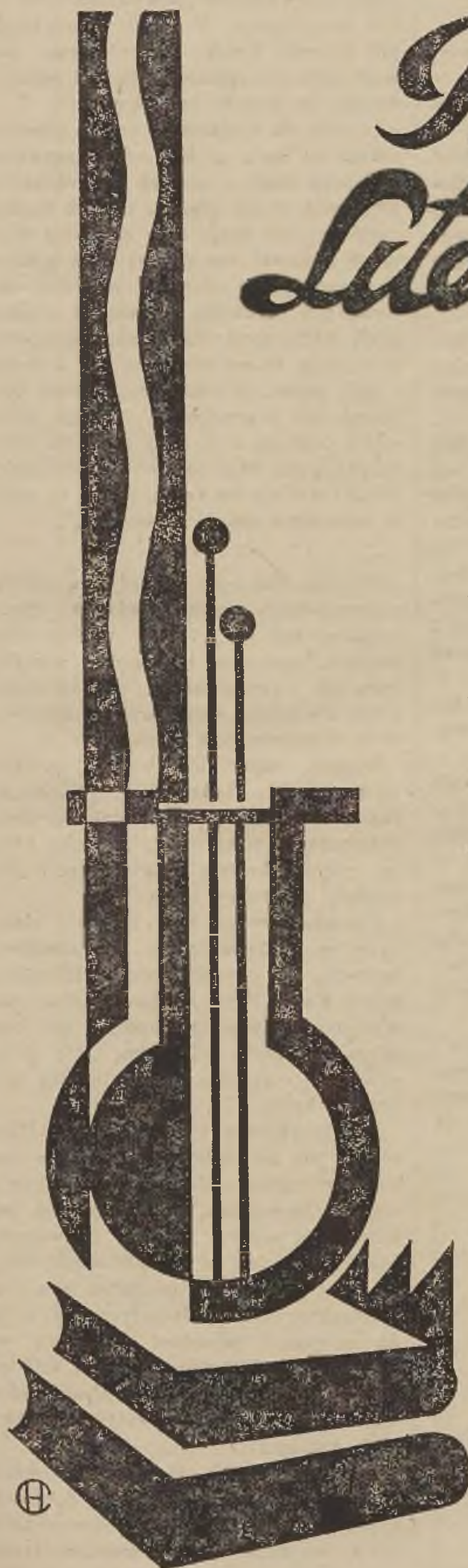
Rozmaitości Literackie i Naukowe



TREŚĆ





Szczególną postacią w dziejach naszych był Jan III Sobieski. Obdarzony niepospolitym talentem wojskowym, arbitralny, jak każdy wódz, mocarz ten, który na długie lata wsławił potęgę oręża polskiego, — był najpowolniejszem narzędziem w rękach królowej, której ambicją było nie tylko pełnić rolę małżonki królewskiej, lecz być prawdziwą monarchinią.

Niejedna sprawa państwowa znajdywała rozstrzygnięcie w gabinecie Marji Kazimiery, mimo iż w kraju wybujałej wolności rządy kobiety, i to cudzoziemki, wywoływały różne sarkazmy i wyrzuty.

Niewyczerpane są jednak w historji niespodzianki: Jan III rządził krajem, a królem Marja Kazimiera, królową zato, jak to często bywało na dworach monarszych, rządziły... trzy służebnice — Letreu, Dupont i Faidherbe.

Czepkowa ta kamaryla tak przemożny wpływ wywierała na różne postanowienia królewskie, iż często Jan III, choć zaangażowany słowem monarszem, musiał sromotnie kapitulować: nieustraszony wódz, który wśród grzmotu dział po siedemnastu latach małżeństwa pisał do królowej, iż „tęskni za ślicznościami najukochańszej Marysieńki, swego najulubieńszego ciałeczka", obawiał się nawet rozdawać nagrody bojowe bez aprobaty „babińca", a gdy pod Wiedniem nieopatrznie obdarował buławą jednego z rycerzy wnet prosił, by zechciał odmówić się od godności, by króla nie narazić na „piekło domowe".

Zdawałoby się, iż jedyną przyczyną podobnego „piekła" mogło być podrażnienie ambicji królowej. Zapewne. Kryły się tu jednak i inne względy... natury czysto materjalnej, przyjętem było bowiem, iż dostojeństwa i awanse stanowiły przedmiot handlu, będąc źródłem funduszu dyspozycyjnego szkatuły królewskiej.

Nadomiar wszystkiego „spieniężanie" tych łask królewskich odbywało się za pośrednictwem zausznika królowej, niejakiego Betsola, który, choć był żydem, piastował godność „intendenta królewskiej listy cywilnej".

Podobne zachowanie się Sobieskiego wywoływało niejedne zgrzyty, a nawet paszkwile. Oto kursowała karykatura, przedstawiająca Jana III w postaci chorego z połamaną koroną na głowie, i ssącego pierś starej kobiety; na innej widzieliśmy znów postać obrońcy chrześciaństwa, skojarzoną z Betsolem.

A jednak, mimo intryg i kpin, gdy nie stało Jana III, i Polska popadła w odmęt niesłychanych trudności, pamięć ludzka z żalem wspominała nietylko Sobieskiego, ale i dzielną Marysieńkę, która tem tylko grzeszyła, iż, jak mawiał biskup Załuski, „za mądrą" była dla szlachty.

*

„W jednej koszulinie pozostał", mówią dziś o kimś, co wpadł w skrajną nędzę, w koszuli widząc to minimum odzienia, które i biedak posiada.

Nie zawsze jednak tak bywało, koszula bowiem już nawet w dziejach nowożytnych uważana była za przedmiot zbytku: jedna koszula dzienna i jedna na noc wystarczały księżniczce de Montpensier, co niezbyt musiało być wygodne dla służby, która naprzemian musiała prać nocną koszulę w dzień i dzienną w nocy. Niewiększy był zapas bielizny Marji Leszczyńskiej, która w skromności swej oburzała się na niektóre damy dworu Ludwika XV, iż trwonią pieniądze na fatałaszki.

— Aż nadto wystarczy — mawiała królowa — posiadać jedną zmianę bielizny, a gdy zniszczy się sprawić sobie nową.

Podobne świadectwa spotkać można w pośmiertnych inwentarzach „szlachetnie urodzonych" z końca XVII wieku nawet, który wśród niezliczonych bogactw często pozostawiali... jedyną parę koszul, i to mocno cerowanych.

W „arcydziele nieznanego autora", skreślonem przez uczonego Matanasiusa (Haga, 1728) czytamy, iż w niektórych prowincjach niemieckich obywano się bez koszuli, przemyślnie zastępując ją miękkiem podbiciem wierzchniej (i jedynej) sukni.

Trudniej zapewne można było obyć się bez koszuli w dzień, uważano zato, iż w nocy używanie koszuli dyktować może raczej skromność, aczkolwiek w niektórych krajach przeważało inne o tem przekonanie. W Danji, naprzykład, jak twierdzi Pasek, powodowano się względami szczególnej hygjeny i oszczędności, by koszuli nie używać.

„Łóżka do sypiania — notuje pamiętnikarz — mają w ścianach zasuwane tak, jako szafy, a pościeli tam okrutnie siłą ścielą. Nago sypiają, jak ich matka rodziła, i nie znają tego za żadną sromotę, a nawet nie strzegą się i gościa, ale przy świecy zdejmują wszystek ornament, a naostatku i koszulę i w ową szafę wlażą spać. Na to nagie sypianie powiadają, że ma dosyć za swe koszule i inny ubiór, co służy przez dzień, powinna też przynajmniej w nocy mieć swoją ochronę, a do tego, co im po tem, robaki, pchły brać ze sobą na nocleg do łóżka i dać się im kąsać, mając od nich w smacznem spaniu przeszkodę".

*

Niepospolite typy zrodziły się na tle staropolskiego możnowładztwa, typy, nacechowane nie tylko wygórowaną ambicją, samowolą i bujnością charakteru, ale i przeróżnemi dziwactwami, które częstokroć wyraz swój znajdywały w niesamowitych konceptach.

Weźmy, naprzykład, bogatą galerję typów z rodu Radziwiłłów. Nieśwież, Birże, Kiejdany, Biała — gniazda tego przemożnego rodu, oto tyleż stolic, które niejednokrotnie sławniejszemi się stawały od stolicy kraju.

Czemże bowiem byli królowie elekcyjni w porównaniu do Radziwiłłów, których, jak ośmielił się podkreślić, książe Karol, Panie Kochanku, stać i na wytarty kontusz, czternastym jest bowiem wojewodą wileńskim, nie dziw przeto, iż szaty mu świecą inaczej, niż ubranie króla.

Wielki chorąży litewski, książe Hieronim, pan na Białej, umyślił sobie nawet stworzenie oddzielnego królestwa... we wsi Słowacinek, o ćwierć mili od książęcego zamku. Jednego z dworzan bialskich osadził na tronie słowacińskim, by mieć satysfakcję pomiatać nim w „pertraktacjach" dyplomatycznych, wojną mu grozić, najeżdżać królestwo, w łyka pętać, obiecując jeńcowi szubienicę. Ileż to razy upadało królestwo słowacińskie, by znów powstawać dzięki łasce książęcej!

Podobna zabawa, to smutny obraz tych czasów, tragiczny objaw deptania symbolu władzy i nieposzanowania praw, poniżania ideału ojcowizny i ojczyzny.

Przymówki

Na świętego Maurycego (13 września)

Jeśli jasny Maurycy,
zimą będzie rad wietrzycy..!

Na świętego Nikodema, (15 Września)

Pogoda na Nikodema,
niedziel cztery deszczu niema...

Z rymów i rytmów

DWÓR

Dwór, z drzewa budowany, obszerny, jakich wiele,
za dworem park i ogród zielenią w dal się ściele;
są winem oplecione dwa przed dworem ganki,
w oknach doniczki kwiatów i białe lśnią firanki.

*

I dwie panienki są w tym poleskim, smutnym dworze,
obie tak bardzo piękne i obie młode, hoże,
jest radjo i fortepjan, pieski i rude kotki —
w tem wszystkiem dużo prawdy i trochę z anegdotki.

STUDNIA

Gdy spływał żar, piekący żar skwarnego południa,
ochronę nam dawała ukryta w cieniu studnia,
długi, skrzypiący żóraw wyciągał wiadro wody
i było krzyku dużo i śmiech rozbrzmiewał młody...

*

A czasem, gdy wilgotne, studzienne, mokre deski
odbiły w sobie uśmiech twój i oczy niebieskie,
a z sadu spłynął do nas jabłoni szept pachnący,
czasem — to nie grzech — rozbrzmiał pocałunek... niechcący.

AMIK

Skulony kornie u stóp swej pani usnął Amik,
czarodziej snu otworzył przed nim swój barwny kramik:
dalekie, obce kraje — indjanie — jakaś zbrodnia —
— morderstwo — zemsta — Amik sni o tem często, co dnia.

*

I rośnie jego duma na miarę bohatera,
czasem się zbudzi, łeb swój podnosi, w dal spoziera
i marzy, roi biedna, kudłata, mała psina,
że jest wpleciona w mocne kreacje Rin-Tin-Tina.

ŁAWECZKA POD KRZYŻEM

Siedzieliśmy pod krzyżem na białej ławce z drzewa,
za nami stało zboże i las, co w nocy śpiewa
poszumem rdzawych igieł; nad lasem czerwień tarczy
wchodziła księżycowa. Do zwierzeń to wystarczy,
więc ci mówiłem słowa, co były przeżyć echem,
lecz dąb wiekowy śmiał się cynicznym jakimś śmiechem,
co duszę w krtani więzi i głos do szeptu zniża...
Na drodze czernił się cień Chrystusowego Krzyża.

BIAŁA RÓŻA

Wsłuchany w dziwnie rzewne fortepjanowe dźwięki,
marzę i płynę razem z tonami w jakiś mięki,
daleki, wieczorny sen. Przez okno zieleń drzew
i oddech wiejskiej ciszy niosą mi słodki śpiew.

*

Na moim stole leży zerwana z krzewu róża,
pachnąca, biała, w listki zielone strojona, duża
i czegoś mi tak smutno, tej róży mi tak żal,
że zwiędnie na mym stole, opadnie listków szal...
Zostaną tylko zżółkłe płatki i wspomnienie
fortepjanowych dźwięków, ciszy, wieczornych cieni
i tych, co różę mi tę przyniosły miękich dłoni
i czar subtelnej, słodkiej, mistycznej jakiejś woni.

Witold Płaszkiewicz

WŁADYSŁAW LUDWIK EVERT

Handlarze spojrzeń...

(Opowieść naiwna i wielce prawdziwa)

Dwie strugi białego ognia, czy światła wytrysły z tabakierki i papierośnicy — spotkały się w połowie drogi i zderzywszy, trysnęły w górę fontanną jaskrawą, a migoczącą.

Czy ci nie wstyd stary — takie oklepane kawały... wycedził ironicznie przybysz.

— Czego chcesz? wysyczał Mergint.

— Przerwijmy wprzód fontannę — profesorze drogi.

Mergint uspokoił się widocznie.

— Siadaj — kochany... kochany markizie.

Z pod ziemi wyrosło krzesło.

— Przedewszystkiem obecnie jestem baronem— to raz, a po drugie, wybacz profesorze: u ciebie, wolę własne meble.

Tu lewą ręką, nie spuszczając oka z Merginta, sięgnął za siebie, wziął laskę, trzcinę zdobną złotą gałką i rzucił ją na ziemię. Patrząc na to wszystko w zupełnym osłupieniu Zhorski nie zauważył nawet jakim sposobem rzucona laska przemieniła się w wygodne karło.

Przybysz usiadł na vis-avis Merginta, nie spuszczając z niego oczu. Chwilę mierzyli się oni chłodnym, siły i zrozumienia pełnym, wzrokiem, niedbale kręcąc w ręku, jeden papierośnicę, drugi tabakierkę.

— Więc — spytał po raz drugi Mergint.

— Sądzę, że nie odmówisz mi pan zezwolenia na porzucenie tego... zakładu.

— W każdej chwili.

— Ale — z nimi — lewą ręką objął szerokim gestem Irenę i Zhorskiego.

— Nie!

— Ha — to będę musiał poprosić — bardzo poprosić...

— Jesteś u mnie i nie znasz moich tajemnic...

— Phi! znam dość dobrze, nie idziesz z duchem czasu mój stary... To ty nie znasz moich.

— Potrafiłem ci jednak przeszkodzić w niejednym łajdactwie...

— Wyrażasz się profesorze jak dorożkarz.

Mergint prysnął wzgardliwym śmiechem.

— Gdy cię chciano wsadzić na pal w czasie wojny trzydziestoletniej — ryczałeś głośniej jeszcze i wulgarniej.

— Bch! Wtedy... lecz do rzeczy. — Oni — nowy gest w kierunku Zhorskiego i Ireny — są moi i ruszyć nie dam. Jasne?

Staruszek uśmiechnął się pobłażliwie:

Co za pewność siebie. Doprawdy kochany... baronie (wszak tak?) imponuje mi pan swą młodzieńczą butą. Na razie, to oni są *moi* i odebrać sobie nie dam. Jasne?

Przybysz skrzywił się z niesmakiem:

— Upór w twoim wieku profesorze, to rzecz niewyleczalna... Bądźmy jednak cierpliwi... Aaa! masz jeszcze Echada — dodał wesoło, spoglądając na karła, — trzymasz się więc dawnej rutyny. Phi! konserwatyzm wrodzony, to siła, której nie docenią nasi radykali — i dzięki temu może...

— Baronie, przerwał Mergint — o radykalizmie i konserwatyzmie innym razem. Obecnie zechciej mnie opuścić.

— Owszem, ale z nimi!

Mergint zmrużył oczy. Nastąpiła chwila ciszy — aż nagle profesor zaczął w oczach ubywać. Rzednął niejako, stawał się mglistym — jakgdyby tajał. Chwila — a miast korpulentnego szanownego staruszka, w głębinie pąsową, kordobańską skórą krytego fotelu, znajdywał się niemal przezroczysty kontur raczej, cień prędzej — niż człowiek.

W odpowiedzi na niesamowite to znikanie Merginta, baron skupił się w sobie, zwarł niejako wewnętrznie i otoczył się pierścieniem zielonawego ognia. Pierścień ten, początkowo nie szerszy od dłoni, rozrastał się błyskawicznie, pojawiły się na nim złotawe i purpurowe centki, aż owinął go mieniącym się pasem od stóp do denka, śmiejącego się połyskliwą czernią, cylindra.

— Idź precz, idź precz — zaskrzeczała papuga, pojawiwszy się znowu i zataczając kręgi nad głową Ireny. Z sufitu na cienkiej liljowej nici począł się spuszczać pająk wielkości dobrej balji, z jednym, fosforycznie błyszczącem okiem; na ścianach występowały krwawe plamy. Jaszczurka, wielkości taksa, fioletowa z brunatnym pasem wzdłuż grzbietu, z głową dziecka, a z twarzą kredowo białą bez oczu, bez kropli krwi pod skórą, z białymi ustami, przewinęła się między nogami Zhorskiego, sunąc ku fotelowi.

Powietrze zgęstniało, dławiąc wprost piersi...

Irena poczęła się dusić, mdły, ckliwy zapach krwi zapanował niepodzielnie; gęsty, fioletowy opar począł unosić się z podłogi, zapełniając pokój. Zhorski porwał w ramiona słaniającą się Irenę, przytulił ją do siebie, czując z rozpaczą, że traci przytomność. Nie widział nic koło siebie — fioletowa mgła otulała go, nasycając wnętrze pokoju. Jak przez gęste zwoje fioletowej gazy widział jedynie pobłyskujący coraz niewyraźniej zielonawy, skrzący złotem i purpurą, słup ognia, we wnętrzu których krył się baron. W uszach mu szumiało. Czuł bicie młotów w skroni. „To krew pulsuje“, pomyślał resztką przytomności. Oczy bolały go jak od gorącego dymu, powieki bezsilnie opadały. Przejmujący szum w uszach pozbawiał resztek przytomności. Uczuł, że traci grunt pod nogami, że mgnienie, a stoczy się z omdlałą Ireną w ramionach, w jakąś tajemniczą, przerażającą pustkę.

Ocknął się odrazu.

Naprzeciwko Merginta siedział po dawnemu

baron — jedynie parę kropelek potu, widocznych na czole, pod rondem cylindra, świadczyły, że — jednak — stało się, czy działo się coś, przed chwilą.

— Ej, stary, stary: — mówił nieco zmęczonym głosem baron — i po co ci to. Sam się zmęczyłeś niemiłosiernie — mnie zmusiłeś do wysiłku — i wszystko na nic. Tem się mnie nie pozbędziesz. To było dobre za czasów Agryppy i Paracelsa... I jeszcze jedno, proszę cię sprzątnij Echada — drażni mnie swą brzydotą — mógłbyś go inaczej zmaterjalizować. Skąd u ciebie ta pasja do obrzydliwości...

— Czy ostatecznie pójdziesz sobie, — przerwał, rwącym się ze zmęczenia głosem, profesor.

— Oczywiście, ale nie inaczej jak z nimi.

— Słuchaj — zaczął łagodnie Mergint — jest nas już niewielu — ludzie przestali w nas wierzyć, a potem zapomnieli o nas... Czy chcesz walką zwrócić na nas uwagę? Pomyśl! — głos Merginta stał się wprost rzewliwy — czy warto, abyśmy się spierali. — My —jedni z ostatnich?

Baron wzruszył ramionami:

— Walka nasze rozgrywa się pocichu. Szybkośmiertelni znają tylko jej przejawy, których i tak nic nie rozumieją — obawy więc twoje są płonne. Ja — nie — ustąpię.

Mergint wtulił się głębiej w fotel, wsparł oń wygodnie plecami i zmrużył oczy. Baron pochylił się szybko naprzód, jakby chciał jakieś ważkie, a decydujące rzucić słowo — wyciągnął rozkazującym gestem lewą rękę — stulił jej palce: trysnął snop zielonkawy, niby strzała ognista, natrafił na niewidoczną dla Zhorskiego przeszkodę — i skonał w oślepiającym białym błysku, natężeniem przewyższającym najjaskrawszą błyskawicę.

— To... było... dobre... także... w czasach... Paracelsa, wycharczał Mergint.

— Masz rację profesorze, więc dajmy pokój obaj. Oddaj mi ich i sprawa skończona. Tam do licha! Też znajdziesz sobie przecie inną robotę!

— Ba! — odrzucił szydersko Mergint — nie liczysz się z tem, że ci państwo przyszli dobrowolnie, że pan i pani zgodzili się na tę małą operację za pewną, okrągłą, zresztą, sumkę...

Coo? — przerwał zdumiony baron, odwracając się ku Irenie.

Biały promień przeszył pokój. Tryumfujący, skrzeczący recht profesora — to ostatnie co usłyszał Zhorski. Poczuł, że leci w przepaść. Kurczowo, ostatnim wysiłkiem omdlewających mięśni, rozpaczliwym skurczem osłabłej świadomości próbował utrzymać w ramionach nieprzytomną Irenę. Czuł, że stacza się po jakiejś pochyłej równi...

IV

Baron Olwing — meldował półgłosem lokaj, rzucając jednocześnie ciekawe spojrzenie w głąb olbrzymiego, mrocznego, dzięki grubym storom i ciężkim aksamitnym portjerom, gabinetu.

Jan, przezwany zresztą Dżonem, nie należał do ludzi zbyt ciekawych, lokajska zaś jego profesja opancerzyła go dostatecznie na dziwactwa, wybryki i śmiesznostki — zachowanie się jednak pana barona Seweryna Pappenholc-Pappenberg odbijało w ciągu dni ostatnich tak jaskrawe od dotychczasowego trybu i sposobu, że wywołało istotnie, nie pozbawione nawet pewnej przychylności, zdumienie służby w ogóle, a Jana-Dżona w szczególności.

Trzeci dzień upływał, jak pan Seweryn (ci-devant Szaja) nie opuszczał swego gabinetu, nie przyjmując literalnie nikogo. Nawet prokurent firmy, i ten raporty giełdowe składał przez telefon. Zaś najpoważniejsi klijenci banku, posiadający przywilej oglądania p. Seweryna i konferowania z nim, nietylko w ścianach jego gabinetu w lokalu banku, lecz, w razie potrzeby i w domu, odprawiani byli z kwitkiem, ku niemałemu zdumieniu i żalowi Jana-Dżona, którego kieszeń cierpiała na tem dotkliwie. Niezaprzeczalnym bowiem faktem jest, że ludzie zawiedzeni i obrażeni, są niepomiernie mniej hojni, od zadowolonych i pełnych nadziei.

Zamknięty w czterech ścianach gabinetu p. Seweryn oddawał się niepojętej dla Dżona-Jana rozpaczy, przyczem ucho wiernego sługi było zdumione odgłosami, przypominającymi to zgrzytanie zębów, to klątwy, to wreszcie jękliwe zawodzenie, jakie dochodziło go z wnętrza gabinetu.

Gdyby nie klucz w dziurce, oko wiernego sługi zdumioneby było widokiem pana barona, który usiedzieć nie mógł na miejscu i biegając po pokoju, każdym ruchem, każdym gestem, dawał wyraz miotającemu go wzruszeniu, czy smutkowi.

Jan-Dżon, przyjęty niesłychanie wrogo — i, powiedzmy szczerze, wprost obelżywie przez p. Seweryna, przy ostatnim bezpłodnym zameldowaniu starego bywalca — klijenta, obraził się nawet; początkowo też odmówił zameldowania p. Olwina — gdy jednak ten ostatni spojrzał na niego, wiernemu słudze zrobiło się tak jakoś dziwnie, że bez słowa poszedł w kierunku gabinetu, nie tracąc ani przez chwilę wrażenia, że coś go z tyłu popycha.

— Prosić, prędzej prosić! No, czego stoisz! — wrzasnął p. Seweryn, podskakując na miejscu z alteracji.

Dżon-Jan z godnością pochylił głowę, bolejąc w duszy nad wychowaniem chlebodawcy, i cofnął się tyłem z gabinetu, by przepuścić p. Olwinga, który nie czekając na wynik misji Dżona, podążył był za nim.

Drzwi zostały zamknięte — pociągnięta czyimś nerwowym ruchem kotara zsunęła się, eliminując tem zupełnie, czynny i bierny udział Jana, w rozmowie gościa z gospodarzem.

— I pan przychodzi tak spokojnie? I pan przychodzi jak nigdy nic? I pan się nie wstydzi? I co ja mam na to panu powiedzieć? — miotał się p. Seweryn Pappenberg-Pappenholc, obrzucając nienawistnem wprost spojrzeniem, szczupłą, wysoką i wytworną postać gościa, owitą w czerń nieposzlakowanego żakietu, z zielonym goździkiem w klapie.

— Panie! Tyle pytań... — odrzucił niedbale gość, patrząc chłodno w oblicze gospodarza.

— I dlaczego ja nie mam pytać? Ja do pana od tygodnia telefonuję może pięć, może dziewięć

razy na godzinę. Ja się niepokoję, ja jestem rozbity, mnie już niema, a pan sobie patrzy przez monokl jakgdyby to wszystko było nic! I po co ja pana... prosiłem? (słowo „opłacam“ nie mogło wyjść jakoś z gardzieli p. Seweryna), jeżeli pan siedem dni milczy, a potem przychodzi i także milczy? Co? Pan wie? Pan może niewie? To się stało! Oj! oj! mnie niema! Ona jest już przerobiona! ona jest już całkiem inna kobieta! I co będzie? I czego pan milczy? Co?

— Domyślałem się tego — rzekł ponuro gość, zagłębiając się w wielki klubowiec — ten stary wyga wykorzystał mgnienie mego roztargnienia, nieprzebaczalny ruch zdziwienia — Olwing mówił z nietajoną złością, niepozbawioną uznania — aby mnie usunąć ze szranek. Tylko jego uprzedniemu zmęczeniu zawdzięczam zaszczyt rozmowy z panem... a i to tydzień cały wisiałem na włosku...“

Pan Seweryn skonstatował istotnie bladość i zmizerowanie gościa.

...No i ostatecznie zrobił swoje.

A co on zrobił, ten łajdak? — zainteresował się p. Seweryn.

— Ukradł pannie Bożydarskiej uśmiech i spojrzenie...

— Ukradł! Złodziej! Rabuś! Do kryminału! Na Sybir! Na ciężkie roboty! Ukradł! Uk... co on ukradł panie Olwing?

— Mówiłem panu. Uśmiech i spojrzenie.

Pan Seweryn cofnął się przezornie za biurko.

— Może panu jest niedobrze? Pan może się źle czuje? Może wody? Sodowej wody? A może koniaku? Ja mam dobry koniak...

Gość parsknął krótkim zduszonym śmiechem.

Pan Seweryn aż przykucnął za biurkiem.

— Ja się cieszę, bo ja widzę, że pan się sam śmieje. Ale może my pomówimy sobie trochę jutro, bo dziś..

— Bo dziś ma mnie pan za warjata? Niech się pan nieobawia. Poprostu są pewne rzeczy, dziś jeszcze, albo dziś już, niezrozumiałe, jak naprzykład niepojętem byłoby odmładzanie systemem dr. Steinacha w wieku XVII, czy teorja względności w wieku nawet XVIII, lub rozkładanie rtęci nawet w roku 922... Mniejsza o to.

— Więc pan mówi...?

— Nie, nie mówię kochany panie. Gdybym powiedział, toby pan nie zrozumiał, a wytłomaczyć też niemożna. Sam pan powiedział, że żona pana, to teraz inna kobieta...

— Inna? Co to jest inna? Ona jest sto razy inna, a jednak taka sama. Ja nie wiem co ten rabuś zrobił, ale ona ma teraz taki jakiś czar, taki jakiś wdzięk, że ja patrzę i ja bym ciągle chciał patrzeć. Pan wie? Ona była jak dobry sola weksel, ale bez żyra, a teraz to ona jest jak weksel Żyrardowa z żyrem Morgana. Ja się w niej znowu kocham...

— Czy pana już zdradziła? — przerwał obcesowo i brutalnie Olwing.

Pan Seweryn skrzywił się rozpaczliwie.

— Nie, jeszcze nie. Ale ona chce. I on teraz także chce; ja to czuję, że on teraz będzie chciał. Aj! Panie baronie, ja mam wielkie zmartwienie!

— Thi! — zauważył obojętnie gość — każde zmartwienie jest rzeczą odczucia. Ale skąd ta pewność, że „jeszcze“ nie. Pan wie co mówi Salomon. Trzy rzeczy trudne są, a czwarta niemożliwa: odszukać ślad ryby w wodzie, ptaka w powietrzu, węża na kamieniu i męża w niewieście...

—Pan pozwoli, że Salomona to ja znam nie gorzej, ale lepiej. Ale to wszystko jedno. Tu i Salomon nie pomoże. Ona mnie, żeby nie wiem jak chciała, jeszcze dwa dni nie zdradzi.

— Aa! — zrozumiał Olwing — tem lepiej. Mając dwa dni, ma się wdzięczność. Posłuchaj pan..

— Panie Olwing! panie baronie Olwing! Ja pana ozłocę, ja...

— Zapłacić pan będzie musiał, to jasne, ale — tu głos Olwinga stał się suchym i twardym — widzi pan, onegdaj to była sprawa pańskich pieniędzy i mego zarobku, dziś jest to już sprawa nietylko mego zarobku, ale i mojej ambicji. Rozumie pan?

— Ja rozumiem i ja się cieszę — odparł p. Seweryn i przysunął się z fotelem do swego gościa.

V

Zapanowała chwila przykrego, denerwującego milczenia.

Baronowa Pappenberg z pod przymrużonych powiek przyglądała się złej, kurczącej się spazmatycznie, twarzy Wireckiego, konstatując z przyjemnością, iż gniew jego bawi ją i sprawia pewną radośc — radość z poczucia własnej przewagi i siły.

— Przerwał pan sobie — zauważyła uprzejmie.

Wirecki nerwowym ruchem wgniótł tylko co zapalonego papierosa w popielniczkę.

— Ostatecznie, abstrahując od zadowolenia, jakie pani sprawia ta rozmowa i to znęcanie się, pragnąłbym wyjaśnić nasz stosunek i dlatego proszę, nie, żądam wprost...

— Mój panie Juljanie! po pierwsze pochlebia pan sobie zbytnio, przypisując mi jakieś szczególne zadowolenie, no a po drugie — baronowa Aldona mówiła wolno, sennym i rozciągłym głosem, jakby cedząc wyrazy przez leniwie się rozwierające białe, krwiożercze ząbki — siedzi pan sobie wygodnie, sam na sam z niebrzydką i ładnie ubraną kobietą, pali, nie wiem którego już z rzędu, dobrego papierosa i pije świetną czarną kawę — o „znęcaniu“ się więc nie może być chyba mowy. No, a po trzecie: co wyjaśnić, kto ma wyjaśnić, o jakim „stosunku“ mowa, zaś wreszcie, skąd to pompatyczne i trochę za śmiałe słówko: „żądam“?

— Użyłem słowa, którego miałem prawo użyć, nie jesteśmy dziećmi oboje. Co zaś do stosunku naszego...

(D. c. n.)

Wyprawa w nieznane

Każdy z nas zauważył, siedząc w wolną godzinę niedaleko okna, że słońce odkrywa przed nami światy całe; oświetlając nasz pokój, promień słoneczny ukazuje nam miljony pyłków, drżących w wąskim pasie światła i znikających w cieniu.

Ale — czy pomyśleliście, że mamy przed sobą w zmniejszeniu obraz — świata? Owe małe pyłki, wędrujące w świetle promienia słonecznego, są obrazem niezliczonej armji gwiazd, wędrujących przez głębie kosmosu. Bo przecież jest rzeczą wiadomą, że owe maleńkie gwiazdki, mrugające wieczorami na niebie, są wielkiemi kulami rozpalonych gazów, są słońcami, jak nasze słońce. I rzeczą jest pewną, że owe „gwiazdeczki" — a raczej wszelkie dalekie słońca — pędzą po swych torach z szybkością wprawdzie wielką, ale dającą się przy dzisiejszym stanie wiedzy astronomicznej zupełnie dokładnie obliczyć.

My jednak nie będziemy się wdawali w dokładne wyliczenia i powiemy ogólnie, że gwiazdy poruszają się z szybkością, przewyższającą tysiąckrotnie szybkość pociągu pospiesznego.

I gdybyśmy mogli spojrzeć na wszechświat „z góry", okiem Boga-Ojca, dla którego tysiąclecie jest chwilą tylko, widzielibyśmy, jak gwiazdy wędrują podobnie do pyłków z naszego pokoju.

* * *

Więc wszystko się porusza... I nasze słońce nie jest wyjątkiem i też bierze udział w tym tańcu wszechświata. Chodzi tylko o to, w którym kierunku słońce (a z niem i my wraz z całym systemem słonecznym z planetami i księżycami) pędzi i z jaką szybkością.

Długoletnie badania najwybitniejszych przedstawicieli astronomji współczesnej rozwiązały wreszcie to zagadnienie: otóż stwierdzono, że poruszamy się z szybkością 21 klm. na sekundę i w kierunku gwiazdy Herkulesa.

Ziemia, jako że zależna jest od słońca, też musi tę podróż przebywać. I tak wędruje cała zamknięta rodzina, kompleks ciał niebieskich, z szybkością 21 klm. na sekundę. Wędruje w Nieznane.

21 kilometrów — liczba napozór mało ważna i zgoła nie „sensacyjna" dzisiaj, w epoce rekordów i lotów transoceanicznych. A jednak— pomyślmy sobie, jakież to wielkie przemieszczenie zachodzi w okresie tak krótkim stosunkowo, jak 60 lat — okres życia ludzkiego. Ziemia dziś znajduje się o całe 40,000 miljonów klm. od miejsca, przez które przechodziła w chwili urodzenia człowieka, obchodzącego dziś 60-tą rocznicę urodzin. Jest to dystansik, przewyższający 266 razy odległość między ziemią a słońcem.

A jeśli cofniemy się do czasów „nieco" dawniejszych? Jeśli wyobrazimy sobie, że to ziemia przewędrowała od czasu, kiedy się zjawił pierwszy człowiek? od czasu, kiedy zaczęło się na niej rozwijać życie organiczne? od chwili, kiedy się wogóle ukształtowała jako samodzielne ciało?

I tak pędzimy wciąż dalej a dalej, 20 razy prędzej, niż kula, wyrzucona z najsprawniejszego działa bojowego.

* * *

A teraz druga kwestja. Wszechświat jest wypełniony miljonami takich systemów słonecznych, jak nasz, tak samo pędzącemi w przeróżnych kierunkach. Jednocześnie pędzą obok tych ciał ogromne chmury, utworzone częściowo z gazów świecących (t. zw. mgławice kosmiczne) i częściowo z ciemnej materji o niezbadanych jeszcze bliżej własnościach.

Więc — czy nie natkniemy się kiedyś w naszej podróży na inne pędzące systemy? Czy nie musi nasz kompleks słoneczny kiedyś „ujechać" w taką chmurę z pod ciemnej gwiazdy, jak pociąg wpada do tunelu? Czy takie wydarzenie zostanie bez ewentualnego wpływu na słońce i jego promieniowanie, a tem samem i na ziemię i życie na ziemi? czy nie może to doprowadzić do katastrof, które w sposób radykalny zmienią oblicze naszego globu? A może takie katastrofy już zaszły i może im właśnie zawdzięczamy naszą egzystencję?



Postarajmy się odpowiedzieć kolejno, na ten cały szereg narzucających się nam pytań.

Przedewszystkiem musimy wiedzieć, że odległość między poszczególnemi gwiazdami jest daleka i dużo czasu trzeba, żeby dwie gwiazdy zetknęły się gdzieś na szlakach wszechświata. Gwiazdę, Alpha Centauri najbliżej ziemi „leżącą", dzieli od nas odległość 4 lat świetlnych, t. zn. że najszybszy z posłańców, promień świetlny, przebiegający całe 300,000 kilometrów w sekundę, musiałby zużyć cztery lata na przebycie drogi od nas do „Alpha Centauri". Gdybyśmy to zechcieli wyrazić w kilometrach, otrzymalibyśmy sumę, większą 271,000 razy, niż odległość między ziemią a słońcem.

Należy przeto przyjąć, że co kilkaset tysięcy lat zbliżamy się do innej gwiazdy.

Czy może to mieć jakiś wpływ na ziemię? Jeśli tamta gwiazda jest dosyć silna a my „podchodzimy" dość blisko — jest to możliwe. Wszak wogóle ciała niebieskie wzajemnie na się wpływają. Księżyc wpływa na nasze morza, wywołując zjawiska przypływu i odpływu. Tak samo może owo słońce, do którego nasz system w swej podróży się zbliży, wywołać silne przypływy i odpływy w oceanie gazów naszego słońca. Pod wpływem tego musiałoby się zmienić promieniowanie słońca i zależny od niego klimat na ziemi.

Bardziej jednak doniosłem w skutkach byłoby wpadnięcie naszego systemu do jednej ze wspomnianych chmur kosmicznych. Chmury te i mgławice są tak wielkie, że nasz ustrój słoneczny musiałby zużyć dziesiątki tysięcy lat na przebycie ich. W ten sposób mogłyby warstwy tych chmur pochłonąć wielki procent z ciepła, wysyłanego do nas przez słońce. To wywołałoby na dłuższy czas oziębienie ziemi i pokrycie skorupy ziemskiej lodem, co jest równoznaczne z zanikiem życia organicznego.

Nasza podróż po wszechświecie może się więc zakończyć katastrofą.

— Gdzieś na krańcach wszechświata — powiedział kiedyś słynny astronom, Flammarion — czatuje śmierć na wędrującą ziemię.

Opracował *L. Eumas.*

O materjałach syntetycznych

W dziedzinie nauki jest to znany typ: krótkowzroczny (w przenośni) uczony lub dowcipny (też w przenośni) dziennikarz, który ni stąd ni zowąd uderza w żałobne tony i hiobową oznajmia wieść, że koniec nasz bliski, albowiem — dajmy na to — pokłady węgla lub nafty wyczerpują się niezwykle szybko i tak dalej i tak dalej...

Cóż na to nasza chemja? Uśmiecha się ona pobłażliwie i dalej pracuje i z ufnością patrzy w przyszłość.

I chociaż w ciągu ostatnich dwudziestu lat zużyto więcej metali, niż przez całe 20 poprzednich wieków, chemicy nie radzą jeszcze bogaczom umieścić czemprędzej kapitały w bankach... na innej planecie.

Możemy spokojnie żyć i to dzięki t. zw. materjałom syntetycznym, czyli sztucznym, wytworzonym drogą chemiczną a służącym jako „ersatz" naturalnych produktów.

Weźmy dla przykładu — wanilję. Jest to materjał masowo używany w Ameryce szczególnie. Początkowo otrzymywano wanilję z rośliny waniljowej (zbliżonej do roślin fasolkowatych). Obecnie produkuje się wanilję ze... smoły. A gdyby zechciano zaspokoić potrzeby rynku amerykańskiego wyłącznie naturalną wanilją, m[illegible]anoby obsiać rośliną waniljową kraj, 50 razy większy, niż Meksyk.

Syntetycznym materjałem, jest sztuczny jedwab, skutecznie konkurujący z naturalnym, a nawet z bawełną.

Także w chemji medycznej coraz więcej materjałów produkuje się drogą sztuczną. Cały szereg ekstraktów z tkanek zwierzęcych i roślinnych, produkuje się teraz — po zbadaniu ich składu azotowego — drogą chemiczną. Tak naprzykład produkuje się teraz używaną w medycynie adrenolinę łatwo i tanio, wówczas kiedy dawniej na wytworzenie 1 funta adrenoliny zużywano gruczoły 30,000 owiec!

A przy tem wszystkiem chemja nowoczesna jest nauką, która liczy zaledwie 100 lat z czemś. Badania zaś nad atomem datują się zaledwie od lat 20. Kiedy się uda nauce zupełnie opanować materję i poznać ją, nastaną czasy „rajskie".

Więc czarne kruki mogą spokojnie spać. *S.*